GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1938 R.

Nr. 20 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 20

1938 R.

1 — XI

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

CZŁOWIEK GOSPODARUJĄCY

Na tle dążeń do zwiększenia dynamiki gospodarczej zaniedbana sprawa człowieka gospodarującego urasta do rozmiarów dużego problemu.

„Człowiek gospodarujący" jest kopciuszkiem zagadnień gospodarczych. Problem to naprawdę wyjątkowo trudny, zwłaszcza... dla ekonomisty. Z większą swobodą w temacie tym obracają się socjolodzy, a tem bardziej literaci. Naprawdę ciekawe i płodne ujęcia spraw z zakresu psychologii gospodarczej znajdujemy też tylko w tych pracach, gdzie zainteresowania gospodarcze łączą się z pozagospodarczą wiedzą i talentami. Przykładem takiego szczęśliwego zbiegu okoliczności są np. kapitalne syntezy psychologii gospodarczej poszczególnych narodów w pracach André Siegfrieda. Ponieważ jednak szczęśliwy zbieg okoliczności jest wyjątkiem, generalnie sprawa przedstawia się w ten sposób, że ekonomiści dotykający spraw psychologii gospodarczej najczęściej poprostu poprzestają na zalecaniu elementarnych cnót gospodarczych, takich, jak „pracuj i oszczędzaj", natomiast te kapitalne źródła tętniących życiem faktów, jakimi bywają dobry reportaż, lub dobra powieść społeczna, nie kuszą się — chwała Bogu — o wyciąganie ogólnych wniosków z dokonanych obserwacji. W powyższym stanie rzeczy piszący te słowa znajduje usprawiedliwienie dla siebie. Usprawiedliwienie tego mianowicie, iż poprzestanie jedynie na postawieniu — i to ułamkowym — problemu.

*

* *

Nad polityką gospodarczą Polski zaczyna ciążyć to samo przekleństwo wielkości, które ciąży nad zagadnieniem naszego bytu państwowego. Od szeregu już lat narosła w Polsce świadomość, że w sytuacji geopolitycznej naszego kraju albo będziemy państwem silnym, dynamicznym, albo... żadnym. Z tej samej racji w obliczu głębokich przemian gospodarki światowej albo musimy mieć szybkie tempo rozwoju gospodarczego, albo też będziemy świadkami cofania się, nie tylko względnego w stosunku do szybciej idących sąsiadów lub w stosunku do szybko rosnącej ludności, ale być może nawet bezwzględnego.

Stawka na powolny, stopniowy, „naturalny" rozwój gospodarczy Polski w gruncie rzeczy zbankrutowała, choć oficjalny pogrzeb jeszcze się nie odbył. Jesteśmy — jako kraj — gotowi obciążyć przyszłe pokolenia i sami zrezygnować z życia ułatwionego, iść na politykę o ambicjach „bohaterskich". Nie jest z powyższym twierdzeniem bynajmniej sprzeczne, że pragniemy na tę drogę wkroczyć z zachowaniem maksymalnej ostrożności, że nie uśmiechają się nam wzory tego sąsiada, który w imię budowy nowych wartości gospodarczych zniszczył niewiele mniej, czy może nawet — w pewnym etapie — więcej wartości istniejących, że nie uśmiechają się nam i nie są dla dla nas możliwe wzory drugiego sąsiada, którego punktem wyjścia był poziom, jaki my dopiero zdobyć zamierzamy. Nie zaprzecza też temu twierdzeniu to, iż po drodze ambitnej polityki gospodarczej, zmierzającej do celów strukturalnych, zrobiliśmy kroków niewiele. Istota rzeczy leży bowiem poprostu w tem, że stan rzeczy istniejący w Polsce nikomu nie pozwala myśleć tylko o zachowaniu i automatycznym wzroście istniejącego dorobku materialnego. Każda koncepcja gospodarcza od najbardziej

naiwnych do najbardziej trzeźwych nastawiona jest w Polsce na to, by tempo rozwoju gospodarczego zdecydowanie przyśpieszyć, choćby drogą pewnych wyrzeczeń w mieniu własnym i w imieniu pokoleń następnych.

W miarę narostu doświadczenia polityczno-gospodarczego staje się coraz bardziej wyczuwalne i wyraźne dla jednostek, wyspecjalizowanych w polityce gospodarczej, lub nawet dla całych społeczeństw, jak dalece wszelkie plany polityczno-gospodarcze budowane są w oparciu o żywego człowieka, jak dalece liczyć się trzeba z tem, że człowiek ten może zawieść, lub sprawić radosną niespodziankę, jak dalece trafna ocena rzeczywistości ludzkiej jest warunkiem koniecznym każdej słusznej i skutecznej polityki gospodarczej.

Młodzi, początkujący ekonomiści i młode, niedoświadczone społeczeństwa mają skłonność do wiary w magię prawidłowych, szczęśliwych formułek. Mają skłonność do przeceniania skuteczności właściwie realizowanych posunięć, opartych o słuszny program. Społeczeństwa o naprawdę bogatym kapitale doświadczenia, politycy i kierownicy gospodarki, którzy na tym zajęciu „zęby zjedli", wiedzą, że ostatnie słowo należy do szarego człowieka gospodarującego. Wiedzą, że nie z każdego tworzywa można budować każdą konstrukcję. Wiedzą też, że przez wytworzenie sprzyjających okoliczności można kolosalnie zwiększyć elastyczność, wytrzymałość, przydatność tego zadziwiającego tworzywa, jakim jest człowiek.

Im śmielszy plan, im na dłuższą metę zakrojony, tem ważniejsza jest sprawa człowieka.

*
* *

Człowieka, jako element życia gospodarczego, rozpatrywać możemy z trojakiego punktu widzenia. Jako pracownika na tym lub innym szczeblu wykonawstwa, poczynając od pracy fizycznej, a kończąc na umysłowej, nieraz bardzo odpowiedzialnej, lecz pozbawionej elementu wyboru. Jako kierownika, dysponenta, poczynając od dyspozycji własnym budżetem domowym, poprzez dyspozycję przedsiębiorstwem, a kończąc na węższym lub szerszym współudziale w dysponowaniu dochodem społecznym. Wreszcie jako członka zespołu, jako komórkę, której sposób reagowania na bodźce z zewnątrz, na decyzje z zewnątrz może reprezentować mniejszą lub większą wartość z ogólnego punktu widzenia.

Każda forma ustroju gospodarczego, każda faza rozwoju gospodarczego inaczej wpływa na rozwój poszczególnych cech psychiki ludzkiej. Każda też stawia inne wymagania. Ustrój feodalno-cechowy z pewnością silniej wpływał na wyrobienie wartości pracownika, niż wartości dysponenta. Ustrój kapitalistyczny sprzyja rozwojowi elementów psychologicznych cennych dla funkcyj kierowniczych, lecz nieraz wręcz ujemnych pod kątem zespołowości. Planowa gospodarka krajów totalnych usiłuje rozwinąć wartości zespołowe.

Jednostronne wychowanie gospodarcze społeczeństwa musiałoby się zemścić na wynikach gospodarki. Oczywiście, można sobie pozwolić na pewną jednostronność wtedy, kiedy pewne cechy są już silnie rozwinięte. Wydaje mi się np., że jedna z ważkich różnic pomiędzy niemiecką a sowiecką gospodarką (pod względem systemu gospodarczego kraje te bardzo zbliżyły się do siebie) jest właśnie to, że Niemcy mają do czynienia z człowiekiem wyrobionym już jako pracownik i jako dysponent. Niemiecki robotnik i pracownik umysłowy ma już głęboko we krwi poprawne wykonywanie pracy, wieloletnia tradycja gospodarcza oraz niemiecki styl życia społecznego i życia codziennego stworzyły nawet w warstwach nieposiadających szereg elementów, znakomicie kwalifikujących do funkcji kierowniczych. Skutkiem tego reżim obecny mógł bez większego ryzyka skoncentrować nacisk na rozwoju wartości zespołowych, na rozwoju i tak już mocno zakorzenionej dyscypliny, na stwarzaniu atmosfery, sprzyjającej ponoszeniu przez poszczególną jednostkę, warsztat czy branżę ofiar na rzecz całości planu gospodarczego. Jak widzimy, dzięki bogactwu spuścizny nie spowodowało to ani załamania ducha przedsiębiorczości, ani wydajności i precyzji pracy.

Rosja Sowiecka osiągnęła wspaniałe wyniki w organizowaniu kampanii szturmowych, w wytwarzaniu atmosfery zbiorowego wysiłku i poczucia zespołowości. Tem niemniej ogólny postęp człowieka gospodarującego w Rosji jest mierny, niekiedy zaś nawet nasuwa się przypuszczenie, że jednostronność rozwoju doprowadziła do schorzeń, do cofania się. Nie wiem, jak ta rzecz przedstawia się w tej chwili. W niedawnej jednak przeszłości jedną z nagminnych chorób kierownictwa w gospodarstwie sowieckim był jego prymitywny styl „kawaleryjskiej szarży", przeboju zamiast rozważnego, obliczonego, równomiernego marszu naprzód. Inną chorobą niemniej doniosłą był — strach przed odpowiedzialnością — zrozumiały w warunkach, w których dyscyplina narastała prędzej, niż umiejętność pracy.

Wniosek praktyczny — ideał wychowawczy musi w zasadzie być ideałem wielostronnie rozwiniętej jednostki, wyposażonej w pełne pod każdym względem walory. W polskich warunkach ustrojowych przy polskim ustroju mieszanym — kapitalistyczno-interwencjonistycznym — nie mniejszą musimy przywiązywać wagę do wartości człowieka jako pracownika, czy jako dysponenta, czy jako członka zespołu.

Dalszy wniosek w myśl powyższego — próby oddziaływania na człowieka gospodarującego w Polsce — nie mogą zatem być ograniczone do rozwijania ducha przedsiębiorczości i inicjatywy, jak to tradycyjnie formułują liberali, ani też do wytwarzania entuzjazmu zbiorowego, co dziś jest coraz częściej akcentowane.

*
* *

Wartości człowieka gospodarującego niewątpliwie ulegają przemianom w czasie, chociaż daje się chyba bronić pogląd, że poszczególne grupy etniczne w zasadzie są mniej lub więcej w pewnych kierunkach utalentowane. Powszechnie uznanym środkiem bezpośredniego oddziaływania na wartość człowieka gospodarującego jest wykształcenie zawodowe. Ale czy

tylko zawodowe? W dobie współczesnej przechodzenie z zawodu do zawodu jest zjawiskiem nagminnym i chyba w pewnym zakresie pożądanym. Szkolnictwo zawodowe nawet na terenie miejskim dalekie jest od objęcia ogółu jednostek potrzebujących wyszkolenia zawodowego, zaś na terenie wsi ogranicza się ono do ułamka procentu. Wydaje się więc, że stawka wyłącznie na wykształcenie zawodowe jest kolosalnym uproszczeniem problemu, co więcej, że w kraju ubogim, zmuszonym z reguły do poszukiwania środków działania, tańszych — chociażby za cenę mniejszej doskonałości — punkt ciężkości musi leżeć poza zagadnieniem szkolnictwa zawodowego, w oświacie pozaszkolnej i w nasyceniu szkolnictwa ogólno-kształcącego elementami przygotowującymi do pracy gospodarczej. Niewątpliwie ponadto wchodzi jeszcze w grę kwestia polityki personalnej, robienia miejsca dla młodych, chociażby za cenę ograniczenia praw emerytalnych w dosłownym i przenośnym znaczeniu tego słowa.

Wreszcie na specjalne podkreślenie zasługuje fakt, iż w odniesieniu do drobnego warsztatu rolnego, w ogóle wydaje się rzeczą nieosiągalną zapewnienie tak szerokiej skali kształcenia zawodowego, by chłop tą drogą mógł zdobyć znaczniejszą część potrzebnych mu wiadomości fachowych. Specificum warunków pracy drobnego warsztatu rolnego polega na wyjątkowej wielostronności funkcyj spełnianych przez kierownika tego warsztatu, będącego zarazem jego pracownikiem i wyjątkowej w związku z tem wielostronności potrzebnych wiadomości (z zakresu prawa, techniki, przyrody itd. itd.). Dlatego też jest rzeczą oczywistą, że wiadomości te muszą być zdobywane własnym wysiłkiem jednostek w oparciu się jedynie o podstawy dostarczone przez szkolnictwo ogólno-kształcące.

Zdobycie tą lub inną drogą wiadomości fachowych, potrzebnych dla spełniania danego zawodu, ma poza znaczeniem bezpośrednim poważne znaczenie wtórne. Niewątpliwie tylko przy dostatecznym przygotowaniu zawodowym może wyrosnąć właściwe poczucie odpowiedzialności za spełnione funkcje, tylko pod tym warunkiem może się pojawić ambicja pracy. Pracownik posiadający stosowne do swych kwalifikacyj funkcje idzie z reguły naprzód, zdobywa walory potrzebne do obejmowania funkcyj kierowniczych. Nie posiadanie tych kwalifikacyj stwarza bierność i marazm, hamuje narastanie w danym środowisku twórczych procesów psychologicznych. Brak zatem przygotowania zawodowego prowadzi do marnotrawienia dynamizmu środowiska pracowniczego. Widzimy to np. wyraźnie przez porównanie środowiska t. zw. arystokracji robotniczej z kadrami nowych, niedawno w produkcję przemysłową wciągniętych robotników. Chodzi zresztą i o straty, o marnotrawstwo łatwiej wymierne, ściśle gospodarcze. Widzimy w tej chwili, że szeroko rozrastający się przemysł metalowy przetwórczy zmuszony był sięgnąć po rezerwy robotników o niepełnych kwalifikacjach lub niewykwalifikowanych, a w konsekwencji liczba zatrudnionych w tym przemyśle rośnie szybciej niż wielkość produkcji. Ponieważ nie prowadziliśmy szkolenia przed tem, fabryki zamieniły się w instytucje dokształcające robotników w *toku* procesów produkcji, a więc znacznie *drożej.*

Jeszcze jaskrawiej występują konsekwencje braku dostatecznej oświaty w niektórych środowiskach wiejskich. W tych mianowicie, gdzie czynnik oświaty jest „czynnikiem minimum" i gdzie w konsekwencji nie jest wykorzystywany posiadany nadmiar pracy, a niekiedy nawet większa zasobność kapitałowa, gdzie wysiłek tak przecież pracowitego chłopa polskiego zasklepia się w tradycjonalistycznym kręgu prac. W dobie kryzysu ukuty został termin „oszczędność marnotrawna". Nigdzie termin ten nie wydaje się tak słuszny jak w odniesieniu do zagadnień oświatowo-szkolnych. Oszczędności na oświacie są źródłem marnotrawienia energii społecznej i dóbr materialnych, przyczyną niewykorzystania rezerw pracy, stanowiących łącznie wartość niepomiernie większą od sum na akcji oświatowej oszczędzonych.

*
* *

Poprzez przemiany psychologii gospodarczej pragnęlibyśmy oddziałać na rozwój życia gospodarczego i społecznego. Zdajmy sobie jednak sprawę, że zależność jest tu dwustronna. Optimum wartości człowieka gospodarującego uzyskujemy przy pewnym stopniu zamożności, przy pewnej skali wahań stopy życiowej. Poniżej i powyżej pewnego poziomu wartości maleją. Bardzo niska stopa życiowa, a tem bardziej skrajna nędza, tylko u jednostek wyjątkowych nie wywołuje apatii, nie osłabia ich zdolności do wysiłku. Podobnie oddziaływa często nadmierny, a zwłaszcza gwałtowny wzrost zamożności, szczególnie o ile nie jest ona rezultatem pracy, lecz szczęśliwego układu okoliczności. W ostatnich latach wytworzył się pewnego rodzaju snobizm reakcyjny, tak jak poprzednio mieliśmy do czynienia ze snobizmem postępowości. Snobizm reakcyjny znajduje swój wyraz w apriorycznym odmawianiu wartości gospodarczej temu wszystkiemu, co dyktowane jest przez instynkt sprawiedliwości społecznej. Wbrew temu snobizmowi wydaje się rzeczą oczywistą, że wzrost dochodu społecznego warstw najmniej zamożnych, osiągany czy to poprzez wzrost całości dochodu społecznego, czy też chociażby przez jego odmienny podział, może być uważany za środek podnoszenia potencjału gospodarczego kraju, środek wzmagania dynamiki gospodarczej szerokich mas ludności.

Ale nie tylko o stronę przychodową budżetu rodzinnego chodzi. Nie mniej ważne jest zagadnienie strony rozchodowej. Dysponowanie budżetem osobistym jest pierwszą szkołą dyspozycji gospodarczej, tu można się nauczyć oszczędności, lub rozrzutności, — obliczania na dłuższą lub krótszą metę. Sposób wydatkowania budżetu osobistego jest w małej mierze jednak tylko, w rzadkich wypadkach, wyrazem pewnej postawy indywidualnej. Najczęściej jest wykładnikiem obyczajowości środowiska. (Oczywiście pomijamy tu liczną zresztą kategorię budżetów poniżej czy też na poziomie minimum egzystencji, gdzie rozkład wydatków ma charakter przymusowy). Stąd też wydaje się, iż jest rzeczą o zupełnie pierwszorzędnym znaczeniu wychowawczym, a w konsekwencji gospodarczym, jak układa się ta obyczajowość, jaki styl życia wytwarza się w danym środowisku. Jest rzeczą prawie powszechną w Polsce, że przy awansie społecznym, przy wzroście dochodów jednostek,

ten styl przechyla się bardzo łatwo i bardzo prędko ku temu, co nazwalibyśmy stylem „szlacheckim" w porównaniu do „mieszczańskiego", ku zasadzie „zastaw się, a postaw się" zamiast ku zasadzie zgodności rozchodów z przychodami. Bezpośrednie apele do oszczędności i rozsądku są tu napewno mało skuteczne. Liczyć natomiast można na potężny wpływ demokratyzacji obyczajowej, która skolei zależna jest zarówno od ułatwienia awansu społecznego jednostkom pochodzącym z t. zw. „warstw niższych", jak i na świadome ograniczenie stopy życia warstw wyższych, jak wreszcie — w sposób bardziej złożony — na wpływ takiej lub innej organizacji politycznej społeczeństwa. Niewątpliwie również w warunkach polskich świadoma akcja, zmierzająca do wytworzenia atmosfery zbiorowego entuzjazmu, musi z całą siłą bić nie tylko na akcent zwiększenia wysiłków, lecz i na akcent „surowego życia" zbiorowości i jednostek. Wszelkie odchylenia od surowego życia mają napewno wpływ skrajnie demoralizujący...

* * *

Czy można w sposób planowy podjąć i przeprowadzić akcję kształcenia człowieka gospodarującego w Polsce, przebudowy jego wartości? — Nie wiem. — Jest natomiast rzeczą pewną, że dyskusja na temat takiej akcji jest drogą do wyświetlania postulatów, jakie należało by tu wysunąć i kierunków realizacji, jakie należało by wykreślić! Jest także rzeczą pewną, że sprawa dojrzała już w pełni do dyskusji.

KAZIMIERZ BRODNICKI

DUCH LENINA STRASZY...

Polska prasa mieszczańska, atakując polską spółdzielczość, nie zdaje sobie sprawy z przyczyn i kierunku rozwoju tej ostatniej oraz z roli spółdzielczości w polskim gospodarstwie narodowym.

Od pewnego czasu (od jak dawna — ustalimy to za chwilę) jesteśmy w Polsce świadkami ataków na spółdzielczość. Mniej się, zapewne, mówi, a więcej pisze — nie mniej atmosfera staje się coraz cięższa i do walki wciągane są coraz szersze koła „zaiteresowanych".

O co chodzi? Otóż to: naprawdę nie wiadomo, o co. Bo przecież trudno sprowadzić do wspólnego mianownika „zarzut", że spółdzielcy (przede wszystkim ze Związku „Społem") to wykonawcy programu... Lenina, i twierdzenie, że spółdzielnie korzystają z ulg podatkowych, co jest oczywiście prawdą, a wymaga jedynie objaśnienia, popartego liczbami.

Krytyka, podjęta przez prasę codzienną, obejmuje oenerowskie „A.B.C.", zbliżonego doń częściowo „Gońca Lubelskiego" i kartelowego „Kuriera Polskiego"; do tej samej rodziny należy lewiatanowa „Depesza" i zawodowa prasa kupiecka b. dzielnicy pruskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, iż w nagonce na spółdzielczość nie bierze udziału „Tygodnik Handlowy", organ Naczelnej Rady Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego. Byłoby to dowodem, że tylko ci, co nie gardzą demagogią, podjęli walkę z czynnikiem, którego rozwój — wbrew temu, co piszą — powinien ich cieszyć, jak nie martwi to Naczelnej Rady.

Można by przeto przejść do porządku nad tem, co wypisuje „ABC" na równi z „Kurierem Polskim" lub „Depesza" do spółki z „Kupcem" poznańskim, gdyby nie to, że „w tym szaleństwie jest metoda" i że szaleństwo znajduje żywy oddźwięk w „sferach zainteresowanych". Zwalczanie spółdzielczości nie maleje zresztą, lecz wzmaga się na sile, a powtarzane stale frazesy wchodzą w krew. Co więcej — z frazesów tych wyłania się stopniowo pewien system myślowo-taktyczny i to jest właśnie powód, dla którego podejmujemy polemikę nawet z krytyką demagogiczną i nieuzasadnioną.

Nie będziemy, rzecz prosta, rozważali zagadnienia, czy np. spółdzielcy, zwłaszcza spod znaku „Społem", są czy nie są wykonawcami spółdzielczego programu — Lenina. Poziom „Gospodarki Narodowej" zwalnia nas również od zajmowania się podobnym zarzutem, który głosi, iż spółdzielczość (znowu przeważnie spółdzielczość spożywcza) przyczynia się do wzrostu potęgi żydowskiej. Nie zamierzamy wreszcie polemizować z tymi, co głoszą, iż spółdzielnie dążą do uspołecznienia handlu i przemysłu w Polsce, to znaczy — w pojęciu pp. „krytyków" — do socjalizacji (recte kolektywizacji czyli upaństwowienia) podmiotów produkcji i wymiany.

Pierwszym argumentem z serii argumentów poważnych i zasadniczych, a kto wie, czy nie najbardziej istotnym, jest twierdzenie, że spółdzielczość przeszkadza tworzyć polskie mieszczaństwo. Mówi się również i pisze, że spółdzielnie chcą zatrzymać chłopa na wsi, a robotnika w fabryce żydowskiej (tutaj znowu wraca do głosu płytka demagogia). Ważniejsze jest twierdzenie, iż ofensywa spółdzielczości hamuje rozwój inicjatywy prywatnej. Dochodzą do tego zarzuty, iż spółdzielnie spożywcze (znowu one!) zniszczyły w C. O. P. młody polski handel prywatny, który nie ma takich, jak one, przywilejów. Czytamy dalej, iż zakładanie spółdzielczych wytwórni i przetwórni nie wpłynie korzystnie na uprzemysłowienie kraju. Podnosi się wreszcie zarzut, że hurtownie spółdzielcze nie chcą pracować z drobnym kupiectwem polskim.

Cały ten splot wywodów tworzy argument nr. 1, argument o tle współzawodnictwa i gry interesów, oparty przy tem o tezę zasadniczą: spółdzielczość przeciwnikiem mieszczaństwa.

Skąd pochodzi podobne postawienie sprawy? Skąd w Polsce, która dopiero tworzy rodzime mieszczaństwo, nurtuje ideologia, pasująca do stosunków zachodnio- i środkowo-europejskich, gdzie sfery mieszczańskie od wieków siedzą mocno w siodle? Skąd

w Polsce, pozbawionej nowoczesnego aparatu dystrybucji, akumulującej kapitał w tempie nader powolnym i eksploatowanej przez obce ośrodki dyspozycji, doszło do zwalczania spółdzielczości, która tworzy nowy aparat dystrybucji, przyśpiesza tempo akumulacji i dysponuje jedynie krajowymi funduszami? Na te pytania nie szukajmy odpowiedzi. Kto chce psa uderzyć, ten zawsze kij znajdzie.

Przyczyna jest prosta, rzec można: pospolita. Ex occidente lux. Wiatr, wiejący w „ABC", „Depeszy" lub „Kurierze Polskim", wieje od granicy zachodniej, gdzie przed 5-ma zgórą laty doszli do władzy ludzie, którzy osłabionemu przez wojnę i dewaluację mieszczaństwu musieli z tych czy innych względów rzucić spółdzielnie (i to nie wszystkie) na pożarcie lub — jak kto woli — na otarcie łez. W Niemczech jednak zupełnie odmiennie niż w Polsce kształtuje się struktura zawodowa, odsetek ludności miejskiej, udział żydów w handlu, struktura i poziom dystrybucji etc. W Niemczech np. problem domów towarowych, sklepów z jednolitemi cenami itp. urządzeń, nie dających spać drobnemu sklepikarzowi, ma znaczenie stosunkowo dość duże. Ale czy przyjdzie komu w Polsce do głowy wydanie ustawy, zwalczającej... Braci Jabłkowskich?

Coś ktoś słyszał, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele i — dodajmy — po co. Trzeba zwalczać spółdzielczość? Doskonale, świetnie — tylko w czyim interesie? Dla dobra fatalnego pod każdym względem status quo w handlu? Słyszało się dotychczas o złym stanie rzeczy w naszym aparacie wymiany: że cierpi on na przerost nieprodukcyjnego pośrednictwa, że kierują nim w większości wypadków ludzie bardzo słabo związani z interesami przywróconego do życia własnej państwowości narodu polskiego, że nadużycia handlu odczuwa przede wszystkim polski wytwórca (rolnik, rzemieślnik, robotnik), że nasz handel wlecze się w ogonie handlu światowego, konserwując przestarzałe i kosztowne metody etc. Nagle te zarzuty znikają, nagle okazuje się, że wymiana w Polsce nie powinna być zmieniona, a prawa nabyte kupca prywatnego szanowane po wieki wieków.

Część przeciwników spółdzielczości nie idzie jednak tak daleko w apologii istniejącego do niedawna aparatu wymiany. Przeciwnicy ci zżymają się na handel żydowski, ale pragną, aby spółdzielczość nie ruszała powstającego czy rozwijającego się handlu polskiego. Stanowisko nie pozbawione wdzięku, jednakowoż tak się dziwnie układa, iż podobny argument wysuwa również spółdzielczość. Stąd wniosek, że obie strony niezbyt mają rację. I w rzeczywistości spółdzielczość działa równolegle do handlu prywatnego. Tak np. w Centralnym Okręgu Przemysłowym — wbrew zresztą wywodom dwutygodnika „Społem" — polski handel prywatny (i to chłopski) rozwija się dość żywo, chociaż jednocześnie spółdzielnie spożywcze i rolnicze b. dobrze dają sobie radę z terenem. Bo i dla jednych i dla drugich teren ten stanowi „tabula rasa", gdzie dotychczas bieda, lenistwo i ciemnota nie sprzyjały istnieniu polskiego handlu tak prywatnego, jak i spółdzielczego.

Zdarza się jednak często, że chociaż miejsca do pracy i zysku jest dużo, jeden z dwuch wymienionych czynników rości sobie pretensje do monopolu albo na tego drugiego zwala winę za niepowodzenia, jakie go spotykają. W tymże Copie nikt nie przeszkadzał rozwojowi polskiego handlu prywatnego, jednakże — co przyznała prasa niespółdzielcza — gdyby nie spółdzielnie, robotnicy Stalowej Woli nie mieliby co jeść. Identycznie było w Janowej Dolinie, gdzie również inicjatywa prywatna egzaminu nie zdała. Decyduje o tej przegranej nie żaden protekcjonizm dla spółdzielczości, lecz po prostu brak większego kapitału (spółdzielnia tworzy go z wielkiej ilości małych udziałów) i, co gorsza, niechęć wzięcia na siebie ryzyka. Ryzyko to — rzecz charakterystyczna — łatwiej podejmuje chłop, stając się kupcem, przyzwyczajony jest bowiem do ciężkiej i żmudnej walki, dzień po dniu, zanim dojdzie do czegoś. Przeciętny mieszczański kandydat na kupca polskiego pragnąłby stać się milionerem w przeciągu tygodnia (typ ten, jak się zdaje, stopniowo zanika), zapominając o swojej niefachowości, braku odpowiednich kapitałów i zasadzie, że nie konsument do niego, lecz on do konsumeta iść musi. Kto traktuje sklep jako rentę, ten nie może zostać nawet sklepowym w... spółdzielni.

Można mieć pod adresem spółdzielczości takie czy inne zarzuty, ale nie wolno zaprzeczyć twierdzeniu, że spółdzielnie wypełniają lukę, jaką w polskich warunkach stworzyła nieobecność przedsiębiorstw średnich co do wielkości, a jakościowo nie ustępujących przedsiębiorstwom wielkim. Związek „Społem" jest, coprawda, największą hurtownią w Polsce (obroty w r. b. dojdą do 100 milionów zł.) i prawdopodobnie ta właśnie okoliczność tak roznamiętnia polską prasę mieszczańską, ale aprowidujące się w nim spółdzielnie — to sieć zgórą 1.500 małych, średnich i tylko wyjątkowo większych przedsiębiorstw. Ich przeciętne obroty są mniej więcej dwa razy większe od przeciętnych obrotów sklepu prywatnego. Nie sposób zaś nie wiedzieć o metodach pracy spółdzielni, które posiłkują się uczciwą wagą (przedmiot ten w prywatnym handlu zbożem z reguły jest nieznany), dobrą jakością towaru sprzedawanego wzgl. nabywanego (racjonalizacja i standaryzacja), no i rzetelną księgowością. Dalej — aparatura spółdzielcza stanowi, relatywnie biorąc, daleko lepszą tak co do ilości, jak i co do jakości sieć aprowizacyjną, aniżeli aparatura handlu prywatnego. Elewatory, magazyny, przechowalnie itp. „wymysły" są rzadkością w handlu prywatnym, który wykazał w tej dziedzinie „ospałość i gnuśność".

Zapewne — spółdzielczość dysponuje większemi możliwościami pieniężnemi, ale oponenci, powołujący się na racje natury ekonomicznej, powinni się cieszyć z akumulacji kapitału, dokonywanej dobrowolnie i masowo. Fundusze społeczne, których nazwa tak irytuje niektórych krytyków spółdzielczości, nasuwa im bowiem płytkie asocjacje myślowe z kolektywizacją, komunizmem i sam... Lenin wie z czem, są doskonałą, a w polskich warunkach jak gdyby wymarzoną formą owej akumulacji i gromadzenia oszczędności ludowych. Biadać nad brakiem zmysłu oszczędnościowego w naszym społeczeństwie i nad jego ubóstwem kapitałowym, a jednocześnie wymyślać spółdzielczości, która owym biadoleniom przeciwstawia czynną akcję nad stworzeniem tych nieobecnych kapitałów — to już tylko brak logiki, tak często towarzyszący przeciwnikom spółdzielczości.

Ci ostatni mają przeciwko niej jeszcze jeden argu-

ment (dajmy mu numer 2-gi), który odnosi się do protekcjonizmu państwowego, z jakiego spółdzielczość korzysta. W swoim czasie (Narada Gospodarcza — luty 1936 r.) „skrajni" i „umiarkowani" spółdzielcy rozprawili się z tym argumentem i nie warto by doń powracać, gdyby nie okoliczność, że poza kwestią podatkową istnieje jeszcze kwestia kredytowa. Spółdzielczość oszczędnościowo - pożyczkowa i rolnicza (gdyż w żadnym razie — wbrew tezom ignorantów — nie spółdzielczość spożywcza) korzystała z dość znacznej pomocy kredytowej. Faktu tego — bez względu na cel (naszym zdaniem słuszny i nieunikniony), jaki mu przyświecał — negować nie sposób. Można by tylko zapytać P. T. krytyków, czy w akcji tej w odniesieniu do spółdzielczości kredytowej nie znajdują skromnego echa naprawdę wielkich funduszów ratunkowych, jakie w okresie „radosnej twórczości" pp. Broniewskiego i Zajdy, zostały zużyte na ratowanie kiepskich banków prywatnych przed skutkami kryzysu. Zgadzamy się jednak z tymi, którzy doradzają umiarkowanie w pomaganiu spółdzielczości. Tak np. jednostronne ustosunkowanie się do spółdzielni rolniczych, jako czynnika uprzywilejowanego w dostawach wojskowych, musi być pohamowane raz ze względów zasadniczych, o których niżej, a powtóre dlatego, że w takim woj. Pomorskim, gdzie Niemcy stanowią zaledwie 10% ogółu ludności, a własność niemiecka wynosi 20% ogólnego obszaru tych ziem, aktywny udział spółdzielczości niemieckiej sięga 48% w dziale mleczarskim, 70% w kredytowym i 74% w rolniczo-handlowym.

Jeżeli pole do popisu jest obszerne i zmieszczą się na nim tak spółdzielnie, jak i kupcy, to tem samem nie powinno się iść po linii najmniejszego oporu, jaką jest uprzywilejowanie tej lub tamtej strony. W Polsce panuje duch kartelowo - monopolizacyjny od Lewiatana poprzez urzędy i organizacje, do robotnika fabrycznego włącznie. Duch ten pragnie dla każdej grupy czy grupki interesów stworzyć warunki cieplarniane. Olbrzymi odłam spółdzielczości broni się skutecznie przed atmosferą cieplarni, są jednak spółdzielcy (w cudzysłowie i bez cudzysłowu), którzy pierwsze swe kroki zaczynają od zapewnienia ich spółdzielniom wyłączności. W ten sposób zatraca się demokratyczny charakter spółdzielni, „morale" i wysiłek jej członków schodzą na plan dalszy wobec sprytu ustosunkowanego kierownictwa, a to ostatnie dość szybko osiada na laurach. Trudno zaś twierdzić, że spółdzielczość już uporała się z nadużyciami wymiany i jest panią sytuacji. Żywiołowy pęd chłopów do spółdzielczości podyktowany jest z całą pewnością wiarą w działanie czynnika samopomocy. Gdyby miało być inaczej, liczby rozwoju spółdzielczości należało by traktować jako zwiastuna burzy, nadchodzącej po zbyt parnym dniu.

Skoro piszemy o chłopach i ich stosunku do spółdzielczości, w której mogą się dzisiaj wyżywać i prowadzić robotę naprawdę samorządową (wyjątki potwierdzają regułę), to chcemw jeszcze zwrócić uwagę prasie mieszczańskiej, że jej atak na spółdzielczość jest trochę kulą w płot. Bo przecież od lat kilku jesteśmy świadkami zjawiska, które by można nazwać urolniczeniem spółdzielczości, ta bowiem rozwija się głównie, a niekiedy wyłącznie, na wsi. Nie w miastach, lecz poza nimi straszy ów „duch Lenina", traktowany serio przez jednych, na wesoło zaś przez innych (i my zaliczamy się do nich). Tyle zaś słyszeliśmy i czytaliśmy i wyzysku, którego ofiarą pada chłop polski, że nie dziwi nas fakt garnięcia się jego do spółdzielczości.

Nie dziwi nas to jeszcze i z tego powodu, że ani Niemcy, ani Ukraińcy nie walczą ze spółdzielczością, lecz ją usilnie rozwijają, przy czem nie należy sądzić, iż bojkotują oni prywatnych kupców własnej narodowości. Spółdzielczość w rękach Ukraińców i Niemców doszła do wielkiej perfekcji, co nie przeszkadza, że na tych samych terenach Polacy atakują polską spółdzielczość, o ile jest ona ruchliwa i dynamiczna, a nawet polskich kupców, o ile ich rozmach zbyt jaskrawo odbija od rezygnacji i konserwatyzmu zasiedziałego kupiectwa miejscowego. Nie dziwi nas wreszcie i z tego powodu, że przed wojną unarodowienie handlu w Wielkopolsce nie odżegnywało się od spółdzielczości, Z wywiadu zaś, jaki udzielił prof. S. Wojciechowski, wynika, iż w pierwszych latach działania 365 kooperatyw spożywców w b. Kongresówce upadło 81 prywatnych sklepów chrześciańskich i 266 żydowskich, a powstało jednocześnie 28 żydowskich i 256 chrześciańskich. A ilu dobrych kupców prywatnych — zwłaszcza na wsi — wyszło z grona spółdzielców?...

Jeżeli kupcy zechcą naśladować metody i formy spółdzielcze, tworząc mocne, zdrowe i uczciwie prowadzone placówki, to niewątpliwie zyskają nad spółdzielczością przewagę. Doświadczenie polskie i zachodnio - europejskie uczy, iż postępy spółdzielczości są proporcjonalne do zacofania handlu prywatnego, a jej sukcesy — odpowiednikiem błędów i braków tego ostatniego. Handel prywatny może i powinien posługiwać się nawet formą spółdzielczą, jeśli tylko ona (skoro innej nie ma) pozwala na społeczną akumulację kapitałów; drobni kupcy są słabi, spółdzielczość zaś jest przede wszystkim dla słabych organizmów gospodarczych; nie ma sensu uważać kupca za „krwiopijcę" i „wroga ludu".

KONSTANTY CZERNIEWSKI

PRACA NAJEMNA W ROLNICTWIE

Zagadnienie pracy najemnej, jako czynnika produkcji rolniczej, zajmowało dotąd, na tle i pod sugestią zjawiska przeludnienia rolniczego Polski, zbyt odległe miejsce w programie polityki rolniczej.

Niewątpliwie zjawisko przeludnienia wsi wysuwało się dotąd na plan pierwszy i nie stwarzało korzystnych warunków do podejmowania dyskusyj nad zagadnieniami robocizny najemnej w rolnictwie. Niemal automatycznie — bez dyskusji — sprawy pracy najemnej odsuwano na plan dalszy.

W płaszczyźnie prywatno - gospodarczej związanej z wewnętrzną ekonomiką gospodarstw, interesowała opinię rolniczą robocizna najemna, jako środek produkcji od strony przede wszystkim kosztów tej produkcji. Państwo ingerowało dotąd prawie wyłącznie tylko w dziedzinę kształtowania się warunków pracy i płacy robotnika rolnego. Sprawy emigracyjne traktowano w oderwaniu od układu stosunków krajowych.

Istnieje jednak kilka dziedzin, których potrzeby, każą nam przywiązywać większą niż dotąd wagę do najmu rolniczego. W stosunku do zagadnień najmu na tle rozważań o jego stanie obecnym i roli w produkcji, należało by przewidzieć, jakie będą tendencje przemian na przyszłość i wyciągnąć stąd wskazania dla rolniczej polityki gospodarczej.

Obecna liczebność najmu, dość nieuchwytna statystycznie z uwagi na duży odsetek robotników nie stałych, wynosi zapewne 1½ do 2 milionów czynnych zawodowo robotników (robotnic) stałych i nie stałych. Ludność najemna w rolnictwie stanowić może przeszło 40% ogółu ludności najemnej w kraju. Już tylko na tle samej liczebności spostrzegamy niewspółmierność traktowania w opinii publicznej spraw zatrudnienia rolnego i przemysłowego zwłaszcza np. pod kątem potrzeb i zdobyczy socjalnych. W naszych dzisiejszych rozważaniach pragniemy poruszyć inną stronę zagadnienia pracy najemnej w rolnictwie i zanalizować pokrótce rolę produkcyjną najmu.

Najem rolniczy posiada wiele cech specyficznych, różniących go dziś znacznie od najmu w innych dziedzinach produkcji. Wielkie rozrzucenie w przestrzeni, brak większych skupień zwłaszcza w gospodarstwach mniejszych i średnich, niski poziom organizacyjny i kulturalny (poza woj. zachodnimi), niskie płace, specjalne formy płacy (przewaga wypłat w naturze zwłaszcza u stałych robotników), nieokreśloność czasu pracy, różny stopień związania z pracodawcą, niestałość pracy, a często nie traktowanie pracy, jako głównego lub jedynego źródła zarobku, brak wielu ubezpieczeń itd., stawiają robotnika rolnego w sytuacji dość specjalnej, która wymaga osobnego traktowania i nie pozwala w szerszym zakresie stosować analogii.

Wyodrębnić można — orientacyjnie licząc — trzy zasadnicze grupy najmu: robotników stałych, robotników sezonowych i robotników dochodzących (nie stałych dniówkowych), przy czem w ramach tych grup istnieje wiele rodzajów w zależności od tradycji miejscowej.

Najem stały pojawia się najczęściej w gospodarstwach o powierzchni 15 — 20 ha, w mniejszych warsztatach dominuje posiłkowanie się najmem dochodzącym w okresie pilnych robót. W miarę zwiększania się powierzchni uprawnej, pojawia się obok stałego, najem sezonowy, przeważnie kosztem najmu dochodzącego. Jeśli podzielimy gospodarstwa na dwie grupy: rodzinne i posiłkujące się pracą najemną, to do grupy drugiej zaliczać już będziemy warsztaty nieraz o powierzchni poniżej 10 hektarów. Równolegle ze wzrostem powierzchni rośnie przewaga najmu nad pracą własną osiągając w warsztatach większych 100%; zmienia się też i struktura najmu. Związanie robotnika z pracodawcą występuje w formach dość krańcowych: od pełnej wspólnoty domowej, jaka istnieje pomiędzy robotnikiem stałym mniejszej własności a pracodawcą — do luźnego i nie wiążącego stosunku chwilowego robotnika, dochodzącego nieraz na kilka dni w ciągu roku.

W wielu wypadkach moglibyśmy najłatwiej przeprowadzać analogie w stosunkach najmu, istniejących w rolnictwie i chałupnictwie, abstrahując rzecz prosta od rodzaju pracy.

Na tle tych kilka stwierdzeń dotyczących układu stosunków najmu w rolnictwie, wynika już m. in. wniosek o roli produkcyjnej najmu. W ogólnej produkcji rolniczej niewątpliwie dominuje — i to znacznie — robocizna oparta na pracy własnej. Jednakże poczynając od warsztatów średnio-chłopskich poprzez gospodarstwa wielko-chłopskie, a kończąc na gospodarstwach folwarcznych, gdzie najem jest wyłączną formą pracy fizycznej, najem w produkcji gra już zasadniczą rolę.

Zjawisko przeludnienia rolniczego Polski nie powinno ważyć za silnie przy kształtowaniu stosunku do zagadnienia pracy w rolnictwie, nadając mu w wielu wypadkach zabarwienie zbyt optymistyczne.

Rozłożenie podaży pracy *w przestrzeni* oraz zjawisko wielkiej *sezonowości* pracy rolniczej w *czasie* nie pozwalają na wyciąganie zbyt optymistycznych wniosków. Istniejące cyfry przeludnienia rolniczego dają obraz zbędności *przeciętnej* w czasie i w przestrzeni.

Obszary nadwyżkowe w produkcji, zwłaszcza zbóż chlebowych, w mniejszym lub większym stopniu pokrywają się z obszarami wielkiego odsetka ludności najemnej przy stosunkowo najsłabszych wskaźnikach regionalnego przeludnienia (np. liczby ludności rolniczej na 100 ha gruntu ornego). A zatem fakt ogólnego przeludnienia rolniczego nie daje jeszcze podstaw do wnioskowania, że wszędzie podaż pra-

cy najemnej będzie zawsze zapewniona, jak nie wszędzie zapewniona jest dziś.

Rozpiętości sezonowości pracy w rolnictwie są znaczne, zwłaszcza na obszarach o krótszym okresie wegetacyjnym. Ilość zużywanej pracy w martwym sezonie zimowym (np. w miesiącu lutym) parokrotnie jest niższa od ilości zużywanej w okresie żniw. Skoncentrowane zapotrzebowanie na ręce robocze w czasie żniw może łatwo przekraczać całą lokalną podaż, co w wielu okolicach znajduje swój wyraz w trudnościach, z jakiemi walczą większe i nawet średnie warsztaty pracy w poszukiwaniu robotnika. Umiejętna i szeroko pomyślana organizacja produkcji może wiele zaradzić, dzisiejsza jednak rzeczywistość daleka jest jeszcze od tego, a polityka rolnicza w tę dziedzinę nie wkracza.

W wielu wypadkach najlepszym miernikiem układu podaży i popytu na wiejskim rynku pracy jest natężenie i kierunki wędrówek robotników sezonowych. Wędrówki robotników nie są rzecz prosta tylko konsekwencją takiego czy innego układu stosunków demograficznych i nie koniecznie oznaczają rzeczywisty nadmiar (obszar wysyłający) lub niedobór (obszar odbierający) rąk roboczych.

Są okolice z których robotnik wędruje do innej okolicy lub na emigrację sezonową, dążąc do uzyskania wyższych zarobków lub licząc na perspektywy łatwiejszego awansu społecznego, mimo, że ma możliwości uzyskania pracy na miejscu. Wtedy wędrówki z danego obszaru nie oznaczają jeszcze jego przeludnienia. Kiedy indziej np. robotnik z woj. krakowskiego wędruje do gospodarstw regionu podwarszawskiego, traktując to jako etap, ułatwiający mu przeniknięcie do miasta, do którego bezpośrednio trafić nie może. Trzeba i można również stwierdzić, że w pewnych wypadkach mimo istnienia wolnego czasu, miejscowa ludność małorolna i bezrolna niechętnie idzie do pracy najemnej. Na ogół jednak wędrówki sezonowych robotników świadczą o dość daleko idącym nie pokrywaniu się obszarów podaży i popytu pracy. Tyle co do stanu i roli najmu w produkcji rolniczej — jako ilustracji do budowania swego rodzaju *diagnozy*, która może wypaść nawet bardzo niekorzystnie na wypadek, gdyby rolnictwo musiało podołać zwiększonym nagle potrzebom produkcyjnym.

Poglądy i prognozy w zakresie kształtowania się przemian w najmie rolniczym na bliższą i dalszą przyszłość są bardzo różne. Przemiany w najmie związane są w pierwszym rzędzie z przemianami struktury agrarnej. Oddziaływa tu z jednej strony rozdrabnianie się gospodarstw przede wszystkim na skutek działów rodzinnych, z drugiej zaś — i w stosunku do najmu jako czynnik zasadniczy — parcelacja. Przemiany struktury agrarnej zdążają w kierunku przekształcenia ustroju rolnego, posiadającego większą niż dziś przewagę gospodarstw mniejszych. Przeceniana jest jednak rola parcelacji, jako likwidatora najmu rolniczego. Prawda, że powstające z parcelacji gospodarstwa należą przeważnie do typu rodzinnych, zatrudniających, i to nie zawsze, tylko najem dochodzący na krótkie okresy. Jednakże ogólna ewolucja najmu nie zapowiada jego likwidacji. Z rąk większej własności do mniejszej przeszło dotąd ponad 3 miliony hektarów, pozostaje zapewne nie wiele ponad 1 milion. Zmniejszenie najmu w latach 1921 — 1937 zupełnie nie dorównało przebiegowi parcelacji.

Czynnik, który by mógł znacznie wpłynąć na obniżenie popytu na ręce robocze, szczególnie ze strony większych warsztatów, — *maszyny* — nie odegra narazie swej roli. Rolnictwo polskie nie ma w tym kierunku możliwości kapitałowych jak też i stosunki demograficzne nie skłaniają do wprowadzenia maszyn zastępujących pracę. Obecna polityka maszynowa słusznie wchodzi na wieś z maszynami podnoszącemi w pierwszym rzędzie jakość i ilość produkcji.

Trudno również oczekiwać jakichkolwiek większych przeobrażeń w układzie popytu na robociznę na skutek reorganizacji produkcji w gospodarstwach, zmiany struktury zasiewów pod kątem ich pracochłonności itd.

Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że przyszłość, przy normalnym rozwoju rolnictwa, przyniesie pewne, ale raczej nieznaczne zmniejszenie liczebności, i że równolegle ulegać będzie zmianom sama struktura najmu.

Zarówno obecna rola najmu w rolnictwie jak i jego zadania w przyszłości, każą skierować większą niż dotychczas uwagę na problemy najmu, rozpatrując je w płaszczyźnie interesów publiczno - gospodarczych. Na specjalne uwzględnienie zasługuje tu z jednej strony dziedzina samej produkcji i zapewnienie sprawnego jej przebiegu, z drugiej zaś — upośledzone i prawie nie istniejące na wsi ubezpieczenia. Niestety w obu wypadkach występuje przede wszystkim brak dostatecznych podstaw liczbowych, które by pozwalały dość ściśle ocenić stan obecny i projektować właściwą politykę, zabezpieczającą interesy produkcji oraz politykę ubezpieczeniową.

W dziedzinie regulowania najmu pod kątem zapotrzebowania robocizny, wymaga ustalenia stopień zaopatrzenia poszczególnych obszarów w ręce robocze. Dalsze etapy — to regulowanie wewnętrznych wędrówek robotników oraz podchodzenie do emigracji sezonowej nie tylko z punktu widzenia możliwości werbunkowych, lecz również w powiązaniu z układem wiejskiego rynku pracy. Na marginesie potrzeby regulowania emigracji sezonowej wspomnieć należy o potrzebie poszukiwania dróg, któremi można by oddziaływać na sposoby bardziej produktywnego wykorzystywania oszczędności przywożonych z zagranicy. W działalności Funduszu Pracy w pewnych wypadkach istniałyby zapewne możliwości celowego i planowego oddziaływania na podaż w zakresie najmu rolniczego.

Przytoczone powyższe przykłady ilustrują wycinkowo potrzeby i możliwości polityki gospodarczej w zakresie najmu rolniczego, który prawie we wszystkich swych dziedzinach nie był dotąd otoczony dostateczną opieką. W zakresie ubezpieczeń aktualna ostatnio sprawa ubezpieczenia emerytalnego robotników rolnych [1]) byłaby — w wypadku jej realizacji — pierwszym posunięciem o dużej wadze gatunkowej.

---

[1]) Patrz art. „Ubezpieczenie emerytalne w rolnictwie". Nr. ?? Gospodarki Narodowej.

UWAGI

NIEWINNE UPROSZCZENIE

Zdawać się mogło, że niezależnie od tego, jak kto odnosi się z zasadniczych względów gospodarczych i społecznych do ustawy z dn. 5 września b. r. o uzasadnionym gospodarczo kształtowaniu się cen rolniczych i do wprowadzonych przez nią opłat od mąki i kaszy konsumowanej przez ludność nierolniczą, jedno nie będzie w tej ustawie przez nikogo kwestionowane: ciężar opłat powinna ponosić ludność nierolnicza, ustawa ma bowiem przeciwdziałać tym ujemnym skutkom podziału dochodu społecznego, jakie pociąga za sobą zbytnia rozpiętość między cenami rolniczemi a cenami produktów, opłat czy usług stanowiących wydatki wsi.

Tymczasem okazuje się z licznych głosów t. zw. gospodarczej prasy, że głównym ponoć błędem wymienionej ustawy jest brak powszechności opłaty od mąki i kaszy, to znaczy to, że ani rolnik ani robotnik rolny nie płaci opłaty od konsumowanej przez siebie mąki i kaszy (t. zw. obrót gospodarczy jest — jak wiadomo — od opłaty zwolniony). Przy powszechności bowiem opłaty wysokość jej mogłaby być — rzecz prosta — silnie obniżona, jakkolwiek bowiem poziom spożycia ludności rolniczej jest niższy od poziomu spożycia ludności nierolniczej nawet w zakresie mąki i kaszy, to jednak ludność rolnicza stanowi przeszło 60% ludności Polski i tem samem spożywa na konsumcję ludzką zapewne dwa razy więcej zbóż, niż ludność miejska, nie rolnicza. Takie zaś obniżenie wysokości opłaty od mąki i kaszy ułatwiłoby bardzo jej ściągalność, zmniejszając wybitnie wszelkie usiłowania uniknięcia poniesienia opłaty, ponieważ stosunkowo niewysoka opłata czyniłaby nieopłacalnymi wszelkie koszty, związane z przemiałem nielegalnym.

W ten sposób, operując pozornie jedynie formalnymi argumentami, wiążącymi się z techniką ściągania omawianej opłaty, usiłuje się wykazać jakże niewinną sugestię, że i cała sprawa upowszechnienia opłaty od mąki i kaszy ma charakter formalny i że tem samem każdy rozsądny człowiek powinien się za nią opowiedzieć.

Ponieważ jednak zbyt trudno uwierzyć, ażeby ktoś naprawdę mógł sądzić, że upowszechnienie opłaty od mąki i kaszy jest tylko drobną, raczej formalno - techniczną zmianą ustawy z dn. 5 września b. r., a nie — jak się sprawa przedstawia naprawdę — zasadniczą zmianą intencji ustawodawcy, — nasuwa się odrazu pytanie, w czyim interesie leży wywieranie przedstawionej powyżej sugestii, komu idzie w niesmak dzisiejszy system opłat od mąki i kaszy? — Jasne jest bowiem, że kampania, prowadzona w pierwszym rzędzie przez t. zw. prasę gospodarczą, nie ma na celu obrony interesów konsumenta, że nie ma swego źródła w dającej się uzasadnić trosce, aby tak podstawowy i powszechny artykuł, jak mąka, kasza i chleb, nie był obciążony żadną dodatkową opłatą. Ta sama bowiem prasa gospodarcza nie ma przecież żadnych wyrzutów sumienia, że ceny wewnętrzne węgla, nafty czy żelaza są tak skalkulowane, aby pokrywały straty na „nierentownym" wywozie wymienionych artykułów.

O co więc chodzi? — Poprostu o interes wielkich młynów, których koszty przemiału, wliczając w nie trzyzłotową opłatę od kwintala mąki czy kaszy, mniej się obecnie *stosunkowo* różnią od kosztów przemiału mniejszych młynów (poważna część tak ujętych kosztów przemiału, a mianowicie opłata przemiałowa, jest jednakowa dla wszystkich młynów), niż to miało miejsce dotychczas, i tem samem pogarsza się możliwość osiągania na rynku przez wielkie młyny dawnej stopy zysku. A nie ma przecież — jak wiadomo — rzeczy bardziej drażniącej, niż ta, że wielki producent nie może zarabiać na tej samej produkcji o wiele więcej, niż producent mały. I tem samem godziwa i słuszna jest każda droga, która prowadzi do zniesienia różnic potwornej anomalii.

Dopiero w tym klimacie nieujawnionych argumentów można zrozumieć, dlaczego przerzucenie większości kwoty, ściąganej z opłat od mąki i kaszy, na szerokie warstwy chłopów i robotników rolnych, wydaje się niewinnym uproszczeniem techniki ściągania powyższych opłat. Potworność takiego stanu rzeczy, aby z opłat najbiedniejszej wsi była forsowana drogą premiowanego wywozu cena zbóż na rynku wewnętrznym wbrew interesom tych szerokich warstw ludności wiejskiej, będących w przeważającej części raczej konsumentami zbóż czy otrąb, wydaje się naturalną w porównaniu z wytworzonym przez ustawę z dn. 5 września b. r. „zamachem" na uprzywilejowane dotychczas położenie wielkich młynów.

A co na to wszystko prasa obszarnicza, podająca się zawsze tak chętnie za obrońcę całego rolnictwa? Czy bije na alarm, że oto pojawiają się głosy zmierzające do obciążenia opłatami przemiałowemi, wprowadzonemi na korzyść wsi, najszerszych mas rolniczych, czy wykazuje całą potworność podobnego pomysłu? Bynajmniej. Poprostu milczy. Przecież płacić mają szerokie warstwy chłopskie. Ewentualne obciążenia umiarkowaną opłatą od mąki i kaszy (na użytek własny) bogatego chłopstwa i obszarników to doprawdy grosze, niewarte jednego wystąpienia prasowego, zwłaszcza, że chodzi o interesy wielkich młynów, w których jakże często są zainteresowani ci sami obszarnicy. No, i najdroższe sercu obszarniczemu interesy Skarbu, który milej jest zasilać z każdego źródła, byleby tylko nie z idących w setki milionów złotych zaległości podatkowych, należnych od wielkich i możnych tego świata.

Stefan Zawadzki.

JESZCZE W SPRAWIE AMORTYZACJI

W Nr. 17 — 18 „Gospodarki Narodowej" ukazał się artykuł p. Mieczysława Presburgera w sprawie oprocentowania funduszu amortyzacyjnego. Nawiązując do uwag p. Greniewskiego, zawartych w artykule p. t. „Amortyzacja" (vide Nr. 13 — 14 „Gospodarki Narodowej") p. Presburger dochodzi do wniosku, że właściwie... nie ma o co kruszyć kopii jeśli chodzi o zagadnienie oprocentowania funduszu amortyzacyjnego. Jak wiadomo wśród osób stykających się bezpośrednio lub pośrednio z zagadnieniem amortyzacji toczy się „bezkrwawa walka" na temat słuszności

stosowania jednej z dwu powszechnie znanych metod amortyzacji: oprocentowania bądź nieoprocentowania funduszu amortyzacyjnego. Opierając się na definicjach i założeniach podanych przez p. Greniewskiego, oraz operując przykładem liczbowym zapożyczonym od tegoż autora, dochodzi p. Presburger do wniosku, że praktycznie biorąc obie „wojujące" ze sobą strony mają właściwie słuszność, albo, jeśli kto woli, obie nie mają racji, kłócąc się, gdyż obie metody amortyzacji nie różnią się w sposób istotny od siebie, prowadząc do tej samej rentowności urządzenia inwestycyjnego. Zdaniem p. Presburgera „środek ciężkości" nieporozumienia spoczywa w zagadnieniu stosowania tej lub innej metody rachunkowej. Innymi słowy, zagadnienie sprowadza się w konsekwencji do takiej lub innej metody księgowania. Kwestia stosowania w poszczególnych wypadkach którejkolwiek z obu metod mogłaby być pozostawiona księgowym, którzy mogliby podjąć dyskusję „we własnym zakresie". Zdaniem moim zagadnienie amortyzacji jest zbyt doniosłe i skomplikowane, abyśmy mogli wycofać się... na „z góry uplanowane pozycje", pozostawiając cały trud dyskusji tylko panom księgowym.

Niech mi wolno będzie, podobnie, jak p. Presburgerowi, „wypożyczyć" od p. Greniewskiego jego definicje i przykłady i na tej podstawie przeprowadzić poniższe rozumowanie.

Wyobraźmy sobie, że mamy dwa urządzenia inwestycyjne A i B (mogą to być zakłady przewozowe, z których każdy posiada identyczny tabór samochodowy). „Wartość netto" każdego z tych przedsiębiorstw wynosi 8.11 jednostek (za jednostkę zechce łaskawie czytelnik przyjąć kwotę zł. 10.000 albo 100.000 albo zresztą dowolną kwotę pieniężną). Załóżmy dalej, że po opędzeniu niezbędnych wydatków, związanych z eksploatacją tego przedsiębiorstwa (jako to benzyna, smary, remont, wynagrodzenie pracowników itp.) z pominięciem jednak amortyzacji każdy z właścicieli osiąga dochód wynoszący *jednostkę* rocznie, a wreszcie — że po dziesięcioletniej eksploatacji samochód ciężarowy nie nadaje się więcej do użytku i zostaje na wzór amerykański porzucony na ulicy....

Jeśli wyobrazimy sobie teraz z kolei, że każde z tych przedsiębiorstw zaangażowało księgowego a mianowicie przedsiębiorstwo A sympatyka metody oprocentowania funduszu amortyzacyjnego, przedsiębiorstwo zaś B buchaltera, który uznaje bezprocentową amortyzację, to dochód netto wykazany za miniony okres dziesięcioletni przedstawia się dla obu tych przedsiębiorstw rozmaicie:

Przedsiębiorstwo A osiągało stale dochód netto w wysokości 0,324 jedn. rocznie, podczas gdy przedsiębiorstwo B — dochód netto stale malejący, wykazany w kolumnie (3) tabliczki p. Presburgera, a więc poczynając od kwoty 0,32 do 0,04 jedn.

Powstaje teraz pytanie „gdzie jest pies pogrzebany", które musimy rozważyć „na zimno" (gdyż wymówienie posady buchalterowi przedsiębiorstwa B, nawet bez ustawowego odszkodowania nie rozwiązuje sprawy).

Jeśli chodzi o przedsiębiorstwo A, które amortyzowało corocznie kwotę 0,676 jedn., tworzyło ono fundusz amortyzacyjny lokując raty amortyzacyjne (powiedzmy w P. K. O.) przy stopie 4% rocznie, podczas gdy właściciel przedsiębiorstwa B odkładał raty amortyzacyjne (których wysokość uwidoczniona jest w kolumnie (4) tabliczki p. Presburgera)... do szuflady.

Czy w tych warunkach można mówić o winie buchaltera z przedsiębiorstwa B, że zastosował inną metodę księgowania niż jego kolega z przedsiębiorstwa A. Czy nie należało by raczej zainteresować się sprawą „polityki lokacyjnej" mającej decydujący wpływ na wysokość „dochodu netto"? (jeśli chodzi o „lokatę oprocentowaną" może ona znajdować się zarówno „na zewnątrz" przedsiębiorstwa jak „na wewnątrz"; w tym ostatnim wypadku stopa oprocentowania mogła by być istotnie przedmiotem dyskusji).

Powstaje teraz pytanie, w jaki sposób księgowy tego przedsiębiorstwa „doszedł" po 10 latach do funduszu amortyzacyjnego w wysokości 8.11 jednostek, amortyzując corocznie jedynie kwotę 0.676 jedn. (co wszak po dziesięciu latach daje 6.76 jedn.).

Otóż niezależnie od rachunku „funduszu amortyzacyjnego" prowadził on również rachunek „odsetek" od tegoż funduszu, który mu wykazał pod koniec 10 roku globalną kwotę wynoszącą 1.35 jedn. (co łatwo jest sprawdzić rachunkowo). Suma kwot, wykazanych na obu rachunkach, mających zresztą ten sam „charakter" buchalteryjny (pasywa przedsiębiorstwa) wynosi właśnie 8.11 jednostek. Rozumie się, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby zamiast księgować amortyzację na dwuch oddzielnych rachunkach, prowadzić ją tylko na rachunku „funduszu amortyzacyjnego", dopisując systematycznie co roku do stałej raty 0.676 jedn. narosłe odsetki od tegoż funduszu od kwoty wykazanej w roku poprzednim.

W ten sposób wysokość funduszu amortyzacyjnego, wykazana w poszczególnych latach, pokrywać się będzie całkowicie z odnośnemi kwotami figurującemi na analogicznym rachunku w przedsiębiorstwie B.

Dochodzimy więc do wniosku, że nawet w wypadku gdyby obaj księgowi stosowali identyczne metody rachunkowe „dochód netto" osiągnięty przez każde z tych przedsiębiorstw byłby różny, a co zatem: *kwestia amortyzacji bezprocentowej czy procentowej nie jest zagadnieniem sprowadzającym się do różnicy metod rachunkowych.*

Skoro pozwoliłem sobie zaabsorbować uwagę czytelnika rozważaniami częściowo natury buchalteryjnej, pragnąłbym jeszcze na marginesie niniejszych uwag wysnuć pewne wnioski, stanowiące jedynie produkt uboczny, tem niemniej ciekawe z punktu widzenia analizy źródeł zysków i strat przedsiębiorstwa.

Jeżeli stwarzam jakikolwiek fundusz w sensie buchalteryjnym muszę mieć nań pewne „pokrycie" rachunkowe t. zn. czerpać odnośną kwotę z innego rachunku (jest to znane „prawo" buchalteryjne, wynikające z zasady podwójnego księgowania).

Mogę również czerpać pokrycie z dwóch rachunków.

Zagadnienie to jest zupełnie bezprzedmiotowe jeśli chodzi o wykazanie wysokości „dochodu netto" dla danego przedsiębiorstwa, istotne natomiast z punktu widzenia analizy kosztów fabrycznych, kosztów handlowych, „zysku na procentach" itd.

Jeśli weźmiemy jakiekolwiek przedsiębiorstwo fabryczne, uznające zasadę oprocentowania funduszu amortyzacyjnego, to w wypadku każdorazowego „obciążenia" rachunku „kosztów fabrycznych" kwotami stanowiącemi raty amortyzacyjne w poszczególnych latach działalności, popełniać będzie ono ten błąd (wykazując zresztą „rzetelny" „dochód netto"), iż niesłusznie zwiększając „koszty fabryczne" wykaże jednocześnie zbyt wielkie zyski na procentach.

Innymi słowy: *nie zmieniając w niczym globalnej kwoty dochodu netto, zmienić się mogą wyniki „gospodarowania"* kierownictwa handlowego i technicznego.

Zagadnienie tu poruszone może również zainteresować aktuariusza. Badając wyniki działalności towarzystwa ubezpieczeń C prowadzącego dział ubezpieczenia na życie) celem porównania ze sobą „efektywnego" i „teoretycznego" przebiegu działalności, opiera się on m. i na buchalteryjnym bilansie, czerpiąc z bilansu liczby mające świadczyć o efektywnej działalność towarzystwa. W tym wypadku błędy w rachunkach kosztów administracji i zysku na lokatach pociągnąć muszą za sobą automatycznie błędy w analizie aktuarialnej.

Henryk Goldstern.

KANAŁ PO ZŁOTE RUNO

Niemalże jednocześnie z dokonaniem Anschlussu Austrii przystąpiły Niemcy do wykonania dwuch potężnych inwestycji: budowy autostrady Salzburg — Wiedeń i kanału łączącego Men z Dunajem. O ile pierwsza inwestycja jest związana ściśle z przeobrażeniem geograficzno - politycznym III Rzeszy, a przede wszystkim wynika z potrzeby radykalnego usunięcia bezrobocia w „oswobodzonej" Austrii, to druga obok zadań powyższych ma o wiele głębszą wymowę polityczną. Mapka umieszczona w „Völkischer Beobachter" z 24 kwietnia br. dobitnie ilustruje tę „drogę przyszłości" [1]) („Die Grosswasserstrasse der Zukunft"), łączącą morze Północne poprzez Ren, Men, budujący się obecnie kanał, Dunaj do morza Czarnego.

Polska na tej mapce jest białą plamą, odsuniętą daleko na północo-wschód od tej „magistrali" przyszłości. Dotychczas sądziliśmy, że najkrótsze szlaki do morza Czarnego muszą przebiegać przez polskie ziemie. Dlatego też szczególnie ciekawą rzeczą dla nas będzie zapoznanie się z konkurentem naszych rzek.

Zastanówmy się najpierw nad techniczną stroną projektu.

[1]) Ustawa o budowie drogi wodnej „Ren — Men — Dunaj" przewiduje wykończenie jej w r. 1945.

W swym nowym założeniu [2]) potężna magistrala wodna ma być dostępna dla żeglugi wielkich nawet statków, bo aż do pojemności 1500 tonn. Do tego celu kanał łączący Men z Dunajem (między Norymbergą a Regensburgiem) ma posiadać głębokość 3,45 m i szerokość po tafli wodnej 38 m. Długość kanału wynosi 130 km. Zakres robót nie zamyka się jednakże do budowy samego kanału. Uprzystępnienie drogi wodnej dla tak dużych statków wymaga dalszych robót nad przebudową dwóch systemów rzecznych. Dotychczas przy pomyślnych warunkach wodnych na Menie mogły docierać statki 500-tonowe najwyżej do Würzburga, a na Dunaju 600-tonowe do Regensburga.

Aby sprostać zadaniu wielkiej żeglugi plan robót obejmuje prace wodne na olbrzymim odcinku 660 km od Aschaffenburgu do Passau. Z tego na rozbudowę Menu przypada 280 km, na rozbudowę Dunaju 210 km, na regulację rzeki Altmühl (dopływ Dunaju) 40 km i na kanał właściwy 130 km.

Realizacja wspomnianego projektu napotyka jednakże u swych podstaw na dwie poważne przeszkody geologicznej natury. Pierwszą przeszkodę stanowi wielka różnica poziomów tafli wodnych dwuch rzecznych systemów. Poziom drogi wodnej od Aschaffenburgu (108 m nad p. m.) wznosi się do punktu szczytowego kanału (406 m nad p. m.) o 300 m, aby opaść w Passau (279 m. nad p. m.) o prawie 100 m. Do pokonania tej przeszkody projekt przewiduje budowę 49 potężnych śluz (na Menie 36 i Dunaju 13). Należy jednakże pamiętać, że wielka ilość śluz nie tylko podnosi bardzo znacznie koszty budowy, nie tylko przedłuża czas żeglugi, ale wymaga posiadania w punkcie szczytowym potężnego rezerwuaru wodnego uzupełniającego wynikłe przy śluzowaniu straty wodne. Na tym dziale wodnym nie posiadają Niemcy jednakże żadnego naturalnego zbiornika wody — i to stanowi drugą zasadniczą przeszkodę.

Olbrzymie masy wody muszą więc być sprowadzone zapomocą skomplikowanego i kosztownego systemu pomp. W tym celu zapomocą kanału - rurociągu ma się sprowadzić potrzebne ilości wody z prawego dopływu Dunaju Lechu spod Augsburga. Warto zaznaczyć, że projekt przewiduje przerzucenie tego potężnego rurociągu poprzez Dunaj na 20-metrowej wysokości. Z budową śluz i rurociągu jest związana budowa potężnych siłowni wodnych, mogących wytworzyć przeszło 1500 milj. kilowatów prądu rocznie.

Ta ilość białego węgla wystarczy nie tylko na obsłużenie skomplikowanego systemu wodnego, ale i na ostateczne zelektryfikowanie przyległych prowincji. Z innych koniecznych robót należy wymienić potrzebę usunięcia porohów na Dunaju t. zw. „Greiner Strudel".

Znaczna część tych robót została dokonana przez spółkę: „Rhein - Main - Donau A. G." a mianowicie: zniesienie „porohów" na Dunaju pod Regens-

[2]) Za panowania Ludwika I bawarskiego w latach 1836 — 1845 został wybudowany kanał łączący Bamberg z Kehl, posiadający 88 śluz. Kanał ten nigdy nie miał większego znaczenia.

burgiem, skanalizowanie Menu od Aschaffenburgu do Würzburgu, zbudowanie 13 śluz i 6 siłowni wodnych. Wobec nowej sytuacji wytworzonej przyłączeniem Austrii wszystkie roboty zostały przyśpieszone a ich skala zwiększona. Muszą widocznie być bardzo poważne przyczyny, że mimo bardzo wielkich technicznych przeszkód, mimo olbrzymich kosztów, miarodajne czynniki zdecydowały się na realizację, zdawało się przerastającego siły zamiaru. A my nie mamy podstaw wątpić, że o ile nie zajdą nowe okoliczności, zamiar zostanie w stu procentach zrealizowany. Wiemy dobrze, że gdy w państwie totalnym chodzi o cel kardynalny, nie mają żadnego znaczenia nasze pojęcia rentowności i kosztów.

W Niemczech rentowne jest zawsze to co zaspakaja potrzebę narodową. Jakież więc może mieć kardynalne znaczenie nowa droga wodna? Czy może skróci drogę z morza Północnego i Atlantyku na morza Czarne i Śródziemne? Czy otworzy Holandii i Belgii czy Anglii drogę do Azji, a dla rumuńskiego zboża do Anglii? Odpowiedź na to da nam kilometraż całej trasy. Długość drogi wodnej od Amsterdamu do ujścia Dunaju wyniesie przeszło 3000 km. Ten prosty obrachunek wyjaśni nam, że owa magistrala wodna nie może mieć poważnego znaczenia dla celów tranzytowych. Koszty przeładunków, holowników i śluzowania przechylą niewątpliwie kalkulację kupiecką na korzyść drogi morskiej z Amsterdamu przez morze Śródziemne do Konstancy (około 7000 km). Każdy cel przeznaczenia, położony bardziej na zachód, uczyni drogę morską jeszcze bardziej rentowną. Państwa naddunajskie pozostaną nadal związane z biegiem Dunaju.

Tak więc nowa „magistrala" nie może mieć znaczenia międzynarodowego a tembardziej międzykontynentalnego. Tajemnicę budowy nowej drogi wyjaśnia nam tylko struktura gospodarcza i polityka współczesnych Niemiec.

Zobaczmy co zyskują Niemcy przez budowę kanału. Przede wszystkim węgierskie zboże będzie mogło tanio, masowo i bezpiecznie wędrować do Kolonii, a węgiel reński do austriackiej rudy. Ale to tylko fragment bardziej widoczny. Treść istotna tkwi w chęci umocnienia wpływów niemieckich w basenie naddunajskim, uczynienia z niego silnej bazy do ekspansji na wschód, do serca „bogatej" Ukrainy.

Istotnym motywem jest chęć usunięcia rzekomej krzywdy narodu niemieckiego, krzywdy — wyrażającej się w lansowanym w Niemczech określeniu:

„Volk ohne Raum" (Naród bez ziemi — wiemy że ziemia i naród są to ściśle z sobą związane pojęcia). A więc skoro jest jedno państwo i jeden naród — musi być i jedno terytorium. Należy z tej filozofii programowej hitleryzmu dobrze zdawać sobie sprawę.

III Rzesza znajduje się obecnie u szczytu koniunktury. Aparat produkcyjny jest niemal całkowicie wykorzystany. Daje się odczuć brak surowców i sił roboczych. Utrzymanie ożywienia na górnym poziomie staje się coraz trudniejsze. Niemcy potrzebują dla celów swej ekspansji nowych, niedorozwiniętych przemysłowo, terenów. Chcą znaleźć w nich rynek zbytu dla swych wyrobów przemysłowych, z drugiej strony zdobyć źródła surowcowe, zwłaszcza surowców rolnych, które by były w zasięgu niemieckiej siły zbrojnej. Dlatego też bezpośrednio po przyłączeniu Sudetów znów przyśpieszono prace przy budowie kanału, starając się w ten sposób wyrównać opóźnienie spowodowane przed paru miesiącami przesunięciem większości robotników do budowy fortyfikacyj t. zw. linii „Sygfryda".

Kolonie Niemców nie zadowolą. Niemcy traktują je tylko jako źródła surowcowe a nie tereny emigracyjne. Naród, jak zaznaczyliśmy, musi posiadać teren i żyć razem zwarcie. Potrzebny jest więc Niemcom teren przyległy. Ten teren widzą na wschodzie. Wystarczy zobaczyć macki granic, wpływów i długoletniej kolonizacji, aby prawda stała się oczywistą. Tylko ostatnio, narazie przynajmniej, ekspansja ta zwróciła się od biednego północo-wschodu poprzez basen naddunajski w kierunku bogatej Ukrainy po... „złote runo".

Kazimierz Cynkutis.

NOTATKI

WARSZAWA WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO.

Nikt w Warszawie przed kilku laty nie spodziewał się, że cała ludność stolicy ma tak żywe, silne zainteresowania dla tworzącego się życia swojego miasta. Są to objawy, których wartość przekracza znaczenie lokalnego patriotyzmu, są one ważne dla całości naszego życia, należy je zanotować i mocno podkreślić.

Do niedawna powszechnie niemal narzekano u nas na bierność społeczeństwa, na trudność wzbudzenia w nim żywych zainteresowań sprawami aktualnej codziennej pracy. Jakże często przeciwstawialiśmy odświętny entuzjazm, wyjątkowe wybuchy radości czy gniewu zjednoczonej opinii narodu, trudnościom, na które napotyka w psychice mas zespolenie ich dla wpólnego budowania codziennego dnia, budowania własnej wsi, miasta, własnego podwórka. Stąd tak wielkie znaczenie objawów zainteresowania, radości i współdziałania w pracach miasta ze strony najszerszych warstw społeczeństwa. Poza samym zainteresowaniem, że się buduje, tworzy nowe, lepsze warunki egzystencji, jest i umiłowanie wartości duchowych, wartości kulturalnych, które w tych pracach są wydobywane i utrwalane dla dobra wszystkich.

Po wybudowaniu i oddaniu do użytku Muzeum Narodowego, gdy zbiory sztuki zostały udostępnione widzieliśmy masową wędrówkę do muzeum Przepływają przez salę muzeum ludzie wszystkich zawodów i grup społecznych, bogaci i biedni, ludzie prości.

Muzeum Narodowe stało się ośrodkiem demokratyzacji kultury. I niech nie mówią sceptycy, że to tylko łatwa ciekawość nowego budynku i jego zawartości przywiodła tych wszystkich ludzi. Według relacji opiekunów nagromadzonych bogactw w Muzeum Narodowym, ludzie ci po wiele razy wracają i oglądają dalej w skupieniu i słuchają z wielką ciekawością udzielanych wyjaśnień, a zachowaniem swoim wskazują, że nie tylko rozumieją ważność tych rzeczy, ale sami siebie uważają za stróżów i wartowników nagromadzonych zabytków, bo to wszystko jest ogólne, wspólne, więc dla wszystkich własne. Ten żywy oddźwięk dla spraw dawnych, dla zebranego piękna wytrzymuje na naszą korzyść porównanie z tem jak to jest gdzieindziej, a specjalnie na zachodzie.

W wolskim nowo urządzonym parku robotnicy przedmieścia Warszawy troskliwie pilnują „swojego ogrodu". Nie waży się nikt kwiatka zerwać i na trawniku stanąć, bo ciężko byłby „przegrany" u „właścicieli" parku wolskich robociarzy. W dzielnicy staromiejskiej znów „miejscowi" z dumą pokazują stare mury obronne, oprowadzają, objaśniają, znają już historię tych murów doskonale, mówią o szczegółach i datach. To wszystko dla nich jest ważne, bo splendoru dodaje ich dzielnicy, podnosi ich znaczenie i wartość ich życia, bo wydobyte zostało z pod ziemi, odnowione i im miejscowym w trosce o ich Stare Miasto, w opiekę oddane.

Tych przykładów jest wiele, mają one już swoją historię. Tak się tworzą nowe, jakże ważne, więzie społeczne dla pracy gospodarczej.

Obecnie po wystawie „Warszawa wczoraj, dziś, jutro" przepływają tłumy miejscowych i przyjezdnych i z żywym zainteresowaniem oglądają zgrupowane eksponaty. Wystawa ta jest wyrazem i potwierdzeniem tego, co mówiłem o zmianie w nastrojach ludności. Pomimo tłumów i wielkiego ścisku panuje tu wzorowy porządek, nie było uszkodzeń, czy niestosownego zachowania się. Najwięcej interesuje to, co zostało zrobione we własnej dzielnicy, a co ma być jutro. Wszędzie wielkie zainteresowanie i żywość obserwacji. Wystawa, którą pokazano, jest dobra i swoim zasięgiem i znaczeniem wybiega poza sprawę ściśle lokalną. To co pokazano jest przeglądem najważniejszych dziś zagadnień stolicy, a uczyniono to na tle porównań z przeszłością. Pokazano jak dawniej postępowano i działano w różnych dziedzinach pracy, jakie są wyniki i problemy prac dzisiejszych i jakie się rysują perspektywy na przyszłość.

Pomysł urządzenia wystawy trzeba uznać za doskonały, właśnie dlatego, że czyni on bliskiemi sprawy budowy rodzinnego miasta i stolicy państwa. Na tem polega wzbudzenie chęci współpracy; trzeba przedstawić, pokazać, wytłomaczyć jaki jest mechanizm, jaka technika i jakie cele w każdej pracy.

To zadanie spełnia Wystawa, ale spełnia i inne. Każda dobra wystawa zbiera, koordynuje działalność ludzką, przedstawia w takim zbliżeniu i w zmniejszeniu, w skali modelów i wykresów prace przeprowadzone, że czyni dla realizatorów, twórców i wykonawców, dla badaczy i wszystkich widzów i współuczestników jaśniejszym i wyraźniejszym obraz dokonywanych prac. Stąd ułatwienie analizy, korektury, polepszenie koordynacji, zwiększenie współdziałania pomiędzy wszystkimi kołami, które grają w tym wielkim zespole. Te zadania tak ważne dla każdej pracy ma spełnić Wystawa.

Materiał jest ułożony z wielką starannością i wydaje najlepsze świadectwo realizatorom wystawy, tak specjalistom w poszczególnych dziedzinach jak i wykonawcom artystom. Przy zwiedzaniu działu poświęconego życiu finansowemu Warszawy znalazłem plansze, które ilustrują dobrze podstawowe problemy finansowe Warszawy. Znalazłem w nich odpowiedź na uwagi, które nasunęły mi się przy czytaniu notatki w przedostatnim numerze „Gospodarki" p. t. „Rewolucja w Warszawie". Uspokoiły mnie one, że Warszawa rozbudowując się bardzo szybko w ciągu ostatnich lat nie przerzuca dotychczas na następne pokolenia ciężaru swoich inwestycji. Pomimo wydania w ciągu ostatnich czterech lat na inwestycje 118 mln. zł. zadłużenie stolicy powiększyło się jedynie o 8 mln. zł., gdyż ogólna suma zadłużenia wzrosła z 255 mln. zł. do 263 miln. zł. Nie trzeba dodawać, że sumy wydane na inwestycje miasta powiększyły bardzo znacznie jego majątek. Porównanie wzrostu majątku miasta, który wyniósł znacznie więcej niż 100 miln. zł, ze wzrostem zadłużenia o 8 miln. zł charakteryzuje korzystny dla gospodarki miasta i jego mieszkańców rozwój gospodarczy stolicy. Jeszcze pełniejsze wyrazu jest zmniejszenie zadłużenia miasta na jednego mieszkańca z 212 zł. w r. 1934 do 208 zł. w r. 1938. Rezultaty te zawdzięcza miasto przeprowadzonym

rozrachunkom i konwersji zadłużenia, które zmniejszyły wysokość długów, oraz oszczędnej gospodarce ostatnich czterech lat, w ciągu których uregulowano całkowicie 78,6 miln. zł. dawnych deficytów miejskich.

Z obejrzenia planszy Wystawy odnoszących się do „dzisiaj" stolicy wysnuć się daje wniosek ogólny, że uzdrowienie finansowe stolicy i danie jej wielkich, a realnych ram urbanistycznych dla przeprowadzanych prac inwestycyjnych, stanowi ważny czynnik dla przyszłego rozwoju miasta.

Stosunek ludności do spraw Warszawy wskazuje, że nie jest trudno znaleść oddźwięk w społeczeństwie dla przeprowadzanych prac, gdy się po tę współpracę idzie przez dokonywane czyny, które są potrzebne i wszystkim przynoszą pożytek. Wszystko jedno czy to jest przebicie ulicy, wybudowanie szkoły czy zorganizowanie Wystawy.

w. s.

SPEKULANCI

Kto sądzi, iż synonimem spekulanta jest czarna sylwetka w chałacie, z mniej lub więcej patriarchalną brodą, ten się grubo myli. Równie biegli są w tym procederze także osobnicy o czarnym... podniebieniu. Reakcjonizm a także patriarchalizm (tylko nieco odmiennej natury) tych ludzi sprawia, iż negliżują np. tej miary proces dziejowy, jak przebudowa ustroju rolnego. Zauważone cechy oraz godność stanu, któremu nie wolno „parać się łokciem", nie przekadzają bynajmniej jednak spekulować. Najwyższa stawka padła przed osiemnastu laty, gdy groziło wywłaszczenie bez odszkodowania. Wówczas uchwalono ustawę o parcelacji. Obecnie wykonywanie tej ustawy jest uważane za bezprawie. Tranzakcja udała się. Za oprotestowany weksel, pozbawiony z czasem pokrycia, *zachowano* („Stronnictwo Zachowawcze" — jak to mile brzmi w tym zestawieniu) dawny stan posiadania.

Niewątpliwie była to spekulacja najgrubszego kalibru, ale też moment dziejowy był niecodziennej miary. Z czasem gdy życie spowszedniało i toczy się dokoła spraw codziennych, spekulacja nie różni się niczem niemal od „obcoplemiennej". Dyskontuje się wyższe ceny produkcji, preferowanej ze względów ogólno-państwowych, i psioczy na kogo się da, że ceny są jeszcze zbyt niskie. Zajęcia te nie są dotychczas w Polsce karalne, aczkolwiek jawne i publiczne namawianie do spekulacji powinno conajmniej spotkać się z nożycami cenzora.

W „Gospodarce" stale akcentuje się potrzebę prowadzenia w Polsce koniunktury ilościowej nie zaś koniunktury cen. Jeszcze tak niedawno wskazywano na błąd „opłacalnościowców", którzy z poza wysokiej ceny nie widzą łańcucha zagadnień zbytu. I oto znów musimy ten temat poruszyć.

Ceny nasion oleistych kształtują się od szeregu lat w Polsce na poziomie dość wysokim. W chwili obecnej ceny siemienia lnianego w Poznańskim są ca pół trzecia razy wyższe od cen pszenicy, od ceny rzepaku — dwakroć. Na rynku światowym różnica wynosi tylko około $^4/_5$ na korzyść oleistych.

Krajowy przemysł pokrywa swe zapotrzebowanie na tłuszcze zaledwie w $1/3$ surowcami krajowymi. Zdawało by się — są olbrzymie potrzeby i możliwości rozwojowe dla uprawy roślin oleistych w Polsce. Tymczasem organ Stronnictwa Zachowawczego pisze co następuje:

„Z tego widać, że ceny oleistych w kraju są dziś na tle ogólnej sytuacji zbożowej stosunkowo korzystne. Należało by zatem pilnie badać możliwości zarówno rozszerzania rynków zbytu, jak i produkcji. Odciążenie bowiem produkcji zbóż na rzecz produkcji oleistych będzie miało tylko wówczas sens, *jeśli nie przekroczymy pojemności rynków*, w przeciwnym bowiem razie i w zakresie roślin oleistych musiałaby się zaznaczyć *tendencja zniżkowa...*" (podkreśl. nasze).

Jak z powyższego widać, spekulacja myślowa wcale zbliżona do spekulacji w znaczeniu bardziej potocznym. Różnica z niedawną chlubną przeszłością polega jedynie na tem, że rozmieniono grubszą monetę na drobne.

a. s.

DROGI I ŚRODKI TRANSPORTU

Gdy mowa o polityce komunikacyjnej, o potrzebie koordynacji transportów poszczególnymi środkami przewozowymi (woda, kolej, szosa), o upośledzeniu niektórych terenów we wszelką trakcję — mimowoli nasuwa się myśl o potrzebie ustalenia tego, jaki środek lokomocji jest najbardziej odpowiedni dla danego obszaru. W zależności od odpowiedzi na to pytanie i w stosunku do niej dopiero mogą być przesądzone wszystkie pozostałe problemy.

Truizmem jest niedorozwój gospodarczy, a co za tem idzie (i nawzajem na siebie oddziaływa) upośledzenie komunikacyjne Polski B. Fizjonomia i wyposażenie terenu, przez co rozumiemy bogactwo wód i kamienia, charakter gospodarczy tej części kraju, tzn. produkcja bądź tanich artykułów masowych (drzewo, zboże) bądź artykułów szybko psujących się — sprawiają, że z pośród środków komunikacyjnych wydają się dla Polski B predystynowane drogi wodne i kołowe. Drogi wodne dla artykułów masowych, zaś komunikacja samochodowa (ciężarowa) dla artykułów specjalnych jak grzyby, jagody, itp. Warunki naturalne nakazują używanie, a więc i inwestowanie w wyżej wymienione środki lokomocji.

Upośledzenie kolei przesądza także fakt, iż inwestycje wodne i szosowe oraz zaopatrzenie tych dróg w tabor, jako też ich eksploatacja są — o ile nam wiadomo — tańsze niż przy kolejach żelaznych. Argument ten jest pierwszorzędnego znaczenia w naszych stosunkach kapitałowych.

Wreszcie za nadaniem wodzie i szosie znaczenia głównych arteryj komunikacyjnych na Kresach przemawiają — naszym skromnym zdaniem — względy wojskowe. Codziennym i najbardziej powszechnym środkiem lokomocji na tamtejszych rozległych połaciach są łódź i wóz. W razie potrzeby mobilizacja tych środków lokomocji jest rzeczą nader łatwą. Natomiast wykorzystanie ich, bez uprzedniego doprowa-

dzenia do należytego stanu wód i dróg może okazać się rzeczą istotnie trudną. Polska zawsze będzie musiała prowadzić wojnę ruchomą, zwłaszcza na Kresach. Wówczas gęsta sieć dróg wodnych i kołowych napewno odegra większą rolę od nieco zgęszczonej (w stosunku do stanu obecnego) sieci kolejowej. O silnym jej zagęszczeniu nie ma co marzyć, zresztą względy gospodarcze tego nie wymagają, ani też nie usprawiedliwiają kalkulacyjnie. Nie potrzebujemy chyba przypominać, jak chybionemi, a dla gospodarstwa narodowego szkodliwemi, wydają się koncepcje staro-rosyjsko-generalskie, obrony przy pomocy bezdroży. Zresztą wojna światowa nauczyła nas, że daleko lepiej opłaca się prowadzić wojnę na czyjejś ziemi, mając swoją jako dobrze zorganizowane i wyposażone m. i. w środki komunikacyjne — zaplecze, niż *bronić się* przy pomocy bezdroży na swojej.

Jeśli zatem — i to stanowi powód, dla którego poruszamy ten tak zasadniczy temat — układ warunków w woj. wschodnich prowadzi do koniecznej rozbudowy dróg i środków komunikacji samochodowej w szerokiej skali, to słusznym wydaje się podnoszony w publicystyce postulat przejmowania przez Państwo rentownych linii komunikacyjnych na innych obszarach Państwa, aby z renty komunikacyjnej tam inkasowanej móc dokonywać inwestycyj na terenach o słabym rozwoju komunikacji.

a. s.

ŚWIEŻE BUŁECZKI

Różne organy prasowe zajęły rozmaitą postawę wobec epokowych przemian, dokonywających się w bieżącym roku w Europie. Wiele było w tem rzeczy poważnych, wiele zabawnych, ale były i rażące. Bo oto jedno z pism, reprezentujących poglądy o potrzebie sprawiedliwego rozdziału dochodu społecznego, żałowało kolejno Wiedeńczyków i Niemców Sudeckich, że z chwilą przyłączenia do Rzeszy nie będą mogli już... jeść świeżych bułeczek, i że będą zmuszeni spożywać czerstwy chleb. Rzecz błaha napozór, ale charakterystyczna przez to, iż jest odbiciem obcej mentalności, która nie daje się zastosować do naszej rzeczywistej rzeczywistości i wręcz z nią koliduje. Bo jeśli Francuz czy Anglik, pogrążony w „sybaryckiej statyce dosytu", może żałować Wiedeńczyka z powodu tych właśnie świeżych bułeczek, to nasz domorosły demokrata czy proletariusz, *a właściwie ich trybun*, powinien mieć inne zmartwienia. Powinien też wiedzieć, że tego rodzaju argument nie przemówi do naszego robotnika czy chłopa, który nie zawsze ma czerstwy chleb i kartofle, i który nie będzie żałował kogoś, kto przestanie jeść... świeże bułeczki.

Jeśli sprawa sprawiedliwego dochodu społecznego nie jest czczym i przebrzmiałym frazesem, jeżeli ma być żywa i pełna treści, to *nie należy ukrywać, względnie zakłamywać się, iż nie będzie mogła być zrealizowana bez przymusu*, i że zewnętrznym tego wyrazem jest między innymi czerstwy chleb, lecz spożywany powszechnie, są kartki na tanie tłuszcze, lecz zarezerwowane dla najbiedniejszych; środkiem wyrównania dochodu społecznego w skali międzynarodowej są armaty, otrzymane zamiast masła.

Doprawdy lepszy jest czerstwy chleb od podgrzewanych kotletów z prasowego... śmietnika. *s. a.*

OBWIESZCZENIE.

Do Rejestru Spółdzielni RS. XII. 1531. Sądu Okręgowego w Warszawie, dnia 29 sierpnia 1938 roku wciągnięto następujące dodatkowe zgłoszenie:

„Gospodarka Narodowa, Spółdzielnia Wydawnicza z ograniczoną odpowiedzialnością w Warszawie". Siedziba obecnie: Nowy Świat Nr 37 m. 15.

Warszawa, dnia 17 października 1938 r.

Sąd Okręgowy
w Warszawie.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" ALEKSANDER KWIATKOWSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.